Nr. 45. We Lwowie dnia 11. listopada 1900. Rok 8.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

SKARGA.

W długie noce, gdy cichy sen ucieka z domu,
Pierś starca krwawym ogniem rozpaczy się pali —
Aż powstał — jęk uderzył po sejmowej sali
I sklepienia zadrżały od słów, jak od gromu.

Mówi, a już się chyli pod ciężarem sromu,
Już słyszy skroś mgłę wieków skargi, bolem wściekłe,
Już widzi rzeź, mord, zgliszcza, łany krwią ociekłe
Tłum wygnańców bez dachu nad głową, bez domu...

Jak piorunem uderza słowem. Raz za razem
W zimne piersi, okryte pychą i purpurą.
Boże! Boże wszechmocny! Toż każda pierś głazem!...

I duch starca kostnieje w strasznym, żrącym bolu.
W sali cisza. Panowie słuchają ponuro.
Król przymknął oczy. Królu, najbiedniejszy królu!

Włodzimierz Perzyński.

„KOŚCIELISKO“

niedokończony poemat

S. Goszczyńskiego.

II.

W takim nastroju znalazł się Goszczyński w dolinie Kościeliskiej. Słucha tutaj podań o pogromie szwedów, czy tatarów, który tę dolinę zasiał kośćmi zwyciężonych. Na wiarę ludu wziął wraz z podaniem etymologję nazwy „Kościelisko“ (od wyrazu *kość*) najzupełniej błędną (str. 218), a wyobraźnia podsunęła mu obraz poetycki tego pogromu, dokonanego z pomocą sił nadprzyrodzonych (duchów tych gór i dolin). W południowej ścianie Upłazu znalazł pieczarę rozbójników, wykutą ręką ludzką z otworami w rodzaju okien. Według podania znaleziono tu kości zbója Janoszyka (Janosika). Zkąd bohater „Sobótki“ i „Kościeliska“ — Janosz, postać na pół tylko ziemska, spowinowacona z siłami nadprzyrodzonemi. Poeta zwiedzał podziemne źródła Czarnego Dunajca i doznał niezwyczajnych wrażeń, które mu przywiodły na myśl i żywo uprzytomniły cały zapas zebranych podań i wierzeń ludowych.

Tutaj powstał pomysł wielkiego poematu, w którym na tle domniemanego zdarzenia, najścia tatarów na górali, poeta miał roztoczyć obraz życia gór, jako splotu sił ziemskich i nadprzyrodzonych, utajonych w górach. Był to pierwotnie pomysł ogromny, na dużą książkę zakreślony: nad taką powieścią należałoby lata pracować. Póki Goszczyński był w górach, niejako na wakacjach, pieścił się tym pomysłem w całej rozciągłości, ale potem, we Lwowie, nie było na to czasu sposobnego. Żyło się tam śpiesznie, gorączkowo i głęboko zarywało się życia poza literaturą.

August Bielowski wciągnął Goszczyńskiego w plany wydawnicze „Ziewonji“. Zabierano się

do niej uroczyście i z zapałem takim, z jakim tylko w przełomowych epokach literackich młodzi literaci zabierają się do roboty. Goszczyński postanowił dać do wydawnictwa to, co mógł na razie dać najlepszego — urywek „Kościeliska“ ze sceną sobótki, która miała być introdukcją do całego poematu.

Jak się okazało, było to zabójcze dla całego utworu.

Dając tę część do druku oddzielnie, musiał z niej wykonać całość jako tako zamkniętą w sobie, pragnął przytem stworzyć rzecz popisową i w rezultacie zrobił to, co się może przytrafić tylko literatowi niezupełnie wytrawnemu: tak zrabował dla „Sobótki“ materjał, zebrany na „Kościelisko“, że później nie miał już z czego reszty dokonać. Wytrawił przytem ogień, jaki miał dla tego pomysłu; później, nie czując już pierwotnego parcia do tematu, zawiesił go w składzie pomysłów i zaniedbał.

Istotnie „Sobótka“ robi wrażenie rzeczy bardzo zbitej, zbyt zkondensowanej. Ma to być tylko obraz sobótkowy, lecz ileż tam obrazów innych, ileż opowieści, ile postaci wykończonych! Wszystko to natłoczone na siebie, ściśnięte w bardzo skąpym wyciągu z bogatej całości. Mówią o Moniuszce, że mnogość motywów, zawartych w jego jednoaktowej operze („Verbum Nobile“), niejednemu kompozytorowi starczyłaby na operę czteroaktową. O Goszczyńskim można to samo powiedzieć z powodu „Sobótki“.

Kiedy mowa o genezie i wątkach „Sobótki“, niepodobna nie zakwestjonować ustalonego pojęcia, że jest to utwór realistyczny, ścisły pod względem etnograficznym, i dlatego wywiera tak silne wrażenie. Pogląd to mylny; żaden pisarz tej epoki nie usiłował być realistycznie ścisłym. W każdym razie Goszczyński nie chciał być realistyczniejszym od Walter-Scotta. Weźmy przykład.

Goszczyński w swoim „Dzienniku podróży“ nie wspomina nigdzie, żeby widział w Tatrach sobótkę. W Tatrach nie mógł się spotkać z nią jako z obrzędem świętojańskim, bo ludność tatrzańska nie zna go zupełnie. Może dawniej istniała? Nikt nie pamięta. Z Zakopanego nadesłano mi w r. 1893-im notatkę, z ust ludu spisaną, tej treści:

„W *Zielone święta*, w pierwszy i drugi dzień wyjdą wieczór chłopaki i dziewczęta z *faklami* (pochodniami) i chodzą polami. Obłupia się smreka i weźmie się, *świnie* (zwinie) na takom trąbę ten lub z tego smreka i do tego bierom kładom żywicę z tych smreczków i dopiero do tego bierom patyki i zapalajom i przykładajom smoły coraz więcej i to się pali. Idom z temi fakłami do lasa na paswisko, na *rówień* (równinę), tam nakładom ognia (najczęściej na Gubałówce pod Zakopanem), przydom z *gęślami* (skrzypcami), grajom i basy jest, i tam potem tańczom, przeskakujom tę *watrę* (ogień) chłopaki, co majom 12 lat, 15, 20 lat, i dziewczęta *same tak* (tak samo), i śpiewajom różne śpiewki, bądź jakom śpiewkę, najczęściej o zbójnikach“. Wyrazu „sobótka“ w Zakopanem nie znają. Pan Stanisław Cercha, malarz, którego monografję o wsi Łopusznej w rękopisie czytałem, zaprzecza istnienia jakiegokolwiek śladu obchodów sobótki w tej okolicy. A przecież Wyżnia na której Goszczyński w poemacie sobótkę zapalił, leży „na gruntach wsi Łopusznej“ (ob. przypisy autora do „Sobótki“). Potrzebny był jednak poecie ogień w górach dla walterskotowskiego efektu.

Miałem w ręku narzucony na kilku kartkach ręką Goszczyńskiego plan poematu „Kościelisko“, plan nie wykończony, przerywany luźnemi notatkami, pomysłami do scen, zdaje się parokrotnie zmieniany w robocie, przyczem autor nie wykreślał pomysłów zarzuconych. Widać, że poeta, siedząc nad temi kartkami, szukał kształtów dla zarysowującego się w wyobraźni poematu i próbował pomysłów na papierze: jak to się zwiąże? Trudno się w tym planie połapać, gdy go zestawia się z „Sobótką“, bo w niej spotykamy zużytkowane pomysły, zaznaczone w planie w innych zupełnie częściach poematu, którego „Sobótka“ miała być jeno cząstką. Dlatego mówiłem wyżej, że poeta zrabował i wyniszczył „Kościelisko“ dla „Sobótki“.

Dla zachowania tych szczątków na pamiątkę, podaję niżej nieznane jeszcze urywki poematu „Kościelisko“, a dla uczynienia zrozumiałemi tych ustępów powtórzę tutaj za rękopisem główną punktację planu całej powieści.

Pierwotny plan „Kościeliska“.

Wstęp. Szwedzi są pod Nowym Sączem. Wieść o dobyciu Sącza rozchodzi się wokoło i przeraża wszystkich. Na kościeliskiej dolinie zgromadzają się górale z trzodami. Nadchodzi wędrowny kobziarz z kilku śpiewakami; ugoszczają go pasterze, wypytują o Szwedach i nie kryją przestrachu. Kobziarz za całą odpowiedź śpiewa im porażkę tatarów w owych miejscach. Zaczyna się powieść od sobótek[1]).

Kasia[2]) objawia się Janoszowi, kującemu grotę zbójców, co nad Kościeliską doliną. Kasia jako topielica.

Mnich, powieszony od tatarów i przeszyty stu strzałami, rozmawia z puhaczem wód Białki[3]) i przez niego zgromadza Dziwożony do narady.

Charakter Kasi, jako Dziwożony, tajemniczy, dziwaczny, wietrzny i posępny. Przywiązanie do gór rodzinnych, gdzie ich (dziwożon) państwo podziemne. Dalekowidzenie. Kocha Janosza wspomnieniem swojej miłości za życia; kocha jak c... h, jak ducha i dlatego chce jego śmierci[4]). D..awni są kochankowie dziwożon jako: mnich, król wężów, głowa upiora itd.

---

[1]) Tu więc było miejsce, przeznaczone dla „Sobótki“. Jak widzimy, miała to być opowieść „minstrela“ tatrzańskiego.

[2]) Postać wspomniana przez Janosza w „Sobótce“.

[3]) Reminiscencje „Zamku kaniowskiego“.

[4]) Por. Ksenię z „Zamku kaniowskiego“.

Janosz żegna chmurną dolinę, oczekując Dziwożony, która go zaprowadzi do źródła Czarnego Dunajca.

Janosz wykuwa w pieczarze swojej okienko; przebił je na wylot, opatrzył cudowny z niego widok na chmurną dolinę i zmordowany usnął nad źródłem pieczary. Wtedy widmo kochanki. Janosz, jakby przeczuwając widzenie się z kochanką, bierze dawno zarzuconą dudkę, przygrywa chwilę, a potem zanucił piosnkę: „Tam na wyżni mój szałasek.“

Na wieść zbliżania się tatarów, górale opuszczają swoje siedziby dla udania się w głębie gór z całym dobytkiem. Przytem zachodzą rzewne sceny pożegnań z ukochanemi górami... W tym czasie zebranie się Dziwożon pod ziemią. Cichość. Pieśń Salki brzmi w podziemiach, powtarzana od echa. Pieśń ta rozrzewnia Dziwożony i pobudza je do obrony górali sposobami nadprzyrodzonymi. Narada i jej skutki.

Górale zbierają się przy kościółku św. Anny pod Nowym Targiem, gdzie im przewodn[illegible]y odwiecznym zwyczajem starosta kościelny.[5])

Pieśń 2-ga. Bitwa na Wyżni. Kiczora zgromadza górali, staje na czele i dowodzi utarczką z tatarami; tymczasem kobiety, dzieci i starcy gęstwami uciekają do wsi. Janosz gwizdaniem zgromadza 20 swoich i czeka wątpliwej chwili boju. Gdy ta nadeszła, rzuca się z boku na tatarów, sprawia w nich ogromne zamieszanie i rzeź. Zostaje ranny kilku strzałami, ale tatarzy ustępują. Kiczora także ranny. Kiczora posuwa się na Kluczki, tam staje obozem i daje stosowne do prowadzenia dalszej wojny rozporządzenia.

Pieśń 3-cia. Narada Dziwożon przy trupie węża. Dziwożony płaczą nad trupem węża, potem naradzają się o sposobach zemsty nad tatarami. Staje na tem, jak się zemścić i ubolewają, że nie mają dosyć siły do zemszczenia się. Wchodzi mnich. — Siostry, dosyć żałości. Niech każda do swoich uda się zatrudnień. O zemstę nie troszczcie się; jest ona złożona w moje ręce, ale wszystko musi pójść swoim porządkiem, przepisanym od Najwyższego sędziego, a kara będzie pewniejsza. Teraz przestańcie płakać, bo jeszcze nieraz zapłakać wam przyjdzie, nim się rozradują wasze serca. Ja to wam powiadam. Najwyższy sędzia polecił wykonanie swojego wyroku względem napastników. Obejrzyjcie pobojowisko, kto ranny mniej niebezpiecznie, wyssijcie ranę, bo strzały tatarskie jadem są napuszczane, niech żyje. Młode dziewki i dzieci zabierzcie z sobą. A Dziwożona z Kramnicy niech weźmie na siebie ciało najpiękniejszej dziewicy, jaka się znajdzie między trupami na poboisku, niech zajdzie jak najprędzej drogę tatarom, którzy się błąkają po lesie i, udając ucieczkę przed nimi, zaprowadzi ich nad potok Buszydło, ażeby się dostali w ręce Kiczory.

[5]) W dalszym ciągu pomysły się powtarzają ze zmianami. Dopiero Pieśń 2-ga (podana niżej) i następne, wydają się już dalszym ciągiem powieści po skończonej „Sobótce“.

— Potężny duchu! Ty nasz pan, ty więcej wiesz od nas. Powiedz, jak się to skończy?

— Chociaż więcej wiem od was, tego jednak powiedzieć wam nie potrafię. Wiecie o tem, że człowiek ma wolę swoją, a ta ziemia i jej sprawy do niego należą. Koniec każdego dzieła od jego woli zależy. My choć mu nie podlegamy, ale mu nie rozkazujemy, nam tylko zlecona opieka nad nim, a kierunek jego woli zostawił sobie Ten tylko, co go stworzył; do nas więc należy wszystko robić z jego korzyścią, do niego — korzystać z naszej pracy, on odpowiada za swoje czyny, on też niech robi co mu się podoba.

— Potężny duchu! Kasia z Łopuszny w wielkiem utrapieniu. Powiedziałyśmy jej, że Janosz był na sobótce, a ona przyjść nie mogła na ziemię, bo jej dusza czystsza od naszych. Pięć razy dziewicza krew trysnęła z jej ciała, ona domyśla się wielkiego nieszczęścia dla Janosza.— Niech się nie lęka. Janosz pięć razy był ranny, ale jest bezpieczny. Wyssano mu jad z ran, a towarzysze jego już go dawno ponieśli na chmurną dolinę. Kasia chciałaby go widzieć, ale, choć nie jest pod twoją władzą, nie może na siebie wdziać żadnego ciała, bo wszystkie są w twojej mocy. Kasia go zobaczy. Pocieszcie ją; powiedzcie, że Janosza wielkie przeznaczenie, jeżeli nie zejdzie z drogi, na którą wszedł śród spotkania się z tatarami, jeżeli dusza jego utrzyma się do końca w tej wysokości, na jaką wtedy wyleciała. Powiedźcie Kasi, że ja sam więcej jej opowiem, bo wyrok najwyższy oddał ją na czas pod moją wolę. Czyście dobrze jej ciało zachowały? — Nie zmieniło się w niczem od chwili, jakeśmy ją zdjęli z Kasi. Bo go niebawnie będzie potrzeba.

Nadlatuje głowa trupia: Cóż tam słychać? co tam widać? — Tatarzy pod Sączem podzielili się na dwie ordy, a obie różnemi drogami zmierzają ku Nowemu Targowi.

. . . .

Wielkie siły, wielkie niebezpieczeństwo. Za dni cztery niezawodnie już tu będą.

Leć nazad; nie odstępuj ich na krok, a na posłańców możesz tych ptaków użyć! I zawołał na drapieżne ptastwo, które okryły pobojowisko i rozrywały ciała trupów. Do mnie tu, do mnie, orły, sępy, wrony, kruki z najszybszemi skrzydłami, z najbystrzejszemi oczami, porzućcie na ten raz Wyżnię, lećcie za trupią głową, ona was zaprowadzi na obfitsze biesiady. Tatarzy tu ciągną. Krążcie nad nimi czarną chmurą, bo to wasza potrawa, mniejszemi stadami ulatujecie nad mniejszemi oddziałami, największe stado niech pilnuje głowy wodza, bądźcie czarnym sztandarem, po którymbym poznał każdy ruch tatarów. A ty, trupia głowo, jak będziesz miała co ważnego donieść, przysyłaj jednego z tych ptaków do mnie.

— A ty, Kasiu z Kramnicy, wybierz sobie ciało najpiękniejszej dziewicy z ciał, co leżą na pobojowisku, ubierz się w nie, idź, hukając po lesie, ażeby zwabić tatara, jeżeli jaki błąka się po

lesie i prowadź go na Kluczki, gdzie Kiczora koczuje z swoją gromadą. A wciąż hukaj.

A wy, inne Dziwożony, pamiętajcie, co wam zaleciłem, a śpieszcie się, bo górale przybędą tu wkrótce sprawiać pogrzeb swoim.

Stało się wszystko podług jego słów. Ptaki pociągnęły za głową trupią, jak za orłem skalnym, jak czarny ogon komety, z gwarem zwołując na wszystkie strony swoją rodzinę. Dziwożony poczęły się krzątać na poboisku, a Mnich ku Kluczkom się udał.

Pieśń 4-ta. Kluczki. Świta. Na Kluczkach stoi Kiczora z gromadą łopuszańską. Rozporządzenia, jakie poczynił Kiczora. Orężem po zabitych tatarach ubrał część górali. Wezwał z Łopusznej i ze wsi pobliskiej wszystką młodzież zdatną do boju. Kilka oddziałów posłał w różnych kierunkach na zwiady i wytępianie tatarów, gdyby się gdzie pokazali rozproszeni. Wysłał także do starosty czorsztyńskiego, czyby w zamku nie mogli znaleźć przytułku ci mieszkańcy, którzy są do boju niezdatni. Do innych wsi rozesłał z wieścią o tem, co zaszło, z zastrzeżeniem, aby się mieli na baczności. Wszystko to po naradzie z mnichem. Nadto po górach słupy oblane smołą zaleca stawiać, ażeby ostrzegały o zbliżaniu się tatarów. W czasie, kiedy Kiczora opowiada Cystersowi, co zrobił, słychać hukanie. Cysters radzi, ażeby wysłać kilkunastu ludzi do schwytania tatarów. Zrobiono to. Tatarzy, przyprowadzeni i badani, wyznają, co wiedzą. W skutku tego cysters radzi, co poczynać, a tatarów każe odesłać do Nowego Targu, ażeby nowotarżanie dowiedzieli się od nich, czego mają się obawiać i stosownie postąpili. Nakoniec uchwalono pogrzeb poległych. Pogrzeb. Koniec części pierwszej.

Źródło Czarnego Dunajca. Janosz otrzymał na Wyżni kilka ciężkich ran, które mu nie pozwalają walczyć jawnym bojem z tatarami. Na niego więc przypada obudzenie sił nadprzyrodzonych w pomoc cofającym się góralom; do tego potrzeba udać sie aż do źródeł czarnego Dunajca, skąd ma powstać wielka burza, ale życie musi stracić. Janosz przystaje na to.

Odbywa tę podróż pod przewodnictwem swojej kochanki. W tej podróży opisać całe podziemie czyli krainę Dziwożon i wszystkie tyczące się nadprzyrodzonych góralskich istot dziwy.

Wchodzą w miejce, skąd się Dunajec po raz pierwszy wydobywa z pod ziemi. W tej drodze Kasia tłumaczy mu wszystkie tajemnice podziemia. Droga do ducha jest prawdziwym labiryntem. Korzeń Łomnicy, Krywania — Morskie Oko i źródło Białki — jaskinia Mnicha, jego skała i powieść o nim. Pogrzeb króla wężów. Coraz wychodzą na jakiś szczyt i widzą poruszenia górałów, zmierzających ku dolinie i skutek swojej podróży — burzę, gromadzącą się w miarę tego, jak się zbliżają do gmachu Ducha Dunajca.

Kasi pierwsze objawienie się jest w jej własnem ciele (bo duchy nie mogą pokazywać się i wchodzić w bezpośrednie stosunki z ciałami ludzkiemi tylko w postaci ludzkiej), wygląda więc jak trup utopiony w całej swojej okropności. Pod postacią duchową widzi ją Janosz dopiero po swojej śmierci.

Przed śmiercią żegna się z towarzyszami i z górami, poczem odprawia swoich towarzyszy do obozu góralskiego.

Pożegnanie to przed drugiem umówionem nadejściem Kasi. Trzydziestu towarzyszów dokoła, Janosz żegna góry, drzewa, ptaszki, kwiaty, odzywającą się dudkę, każe jeszcze raz odprawić tańce i biesiady, potem zaśpiewać zbójecką piosnkę; poczem całują go wszyscy w kolej, podnoszą płacz powszechny i odchodzą do góralskiego obozu.

W jaskini Dunajca odpoczęli w pierwszym ustępie, bo Janosz czuł się coraz słabszym. Wstali. Kasia szła naprzód. Brnęli długo, długo wązkiem korytem przeciw pędowi wody; koryto zwężało się, rozszerzało po razy kilka; minęli kilka sklepień, aż przyszli do ogromnego podziemia: na środku jezioro, z boku pod ścianą łódka, a woda na jeziorze, to wybuchała, to się kryła. Siedli na łódkę i czekali aż przepaść cmoknie, w tej chwili woda pochłonęła całą łódkę i wtedy Janosz zginął. Janosz zalany wodą utracił zmysły; kiedy się ocknął, zdziwiony był bardzo. Leżał wśród światłości i życia, jezioro było z podobnym wirem jak pierwsze, ale woda leciała do niego wodospadem, był to już świat Dziwożon. Kasia jaśniała pięknością, bo łódka z jej i Janosza ciałem odpłynęła na świat ziemski. — O, wielką przebyliśmy drogę, dzięki Bogu, wszystkie największe niebezpieczeństwa przeszły. Janosza rany zniknęły, czuł, jakby się dopiero narodził, tak był wolny od bólu, tak był rzeźwy, zdrowy i silny.

Janosz idzie z Kasią jako duch, nie wiedząc o tem, że już umarł, (śmierć jego taka lekka, bo ginie dla swojej ojczyzny), ztąd dziwi się, obejmując okiem daleko więcej i słuchem dalej sięgając, niż kiedykolwiek: dla jakiej przyczyny? Nie może jeszcze przenikać ziemi i innych materji, bo dusza po śmierci nie odrazu, ale stopniami przychodzi do tej dzielności, tem prędzej, im człowiek żył poczciwiej na ziemi.

Z. Wasilewski.

ALOJZY JIRASEK.

CHODOWIE.

Obraz historyczny.

XII.

Minął adwent, minęły i święta Bożego Narodzenia. Mrozy, niezwykle ostre w grudniu, nie złagodniały w początkach nowego roku. Śnieg okrywał ziemię grubą warstwą, w której cały kraj chodzki zdawał się tonąć. Zamek terhanowski, położony na zboczach Czeskiego lasu, wśród zadrzewionych gór i mający w sąsiedztwie jeno młyn i kilka chałupek, wyglądał bardzo osamotniony na tle zimowego krajobrazu. Cisza i pustka wiały dookoła, ale większa jeszcze cisza panowała we wnętrzu zamkowem.

Blask zachodzącego słońca wpadał właśnie do jednej z komnat, niewielkiej, lecz zacisznej i gustownie urządzonej. Wysoko sklepiony sufit szarzał już w zamierzchu, ale dębowe boazerje przeciwległej ściany słonecznem jaśniały złotem. Migotał w blaskach i klawikord, stojący tu na pięknie rzeźbionych nogach. U klawikordu siedziała Marja, młodsza córka Lammingera. Padające skośnie promienie przepajały światłem płowe włosy dziewczyny, zebrane w pyszny węzeł z tyłu głowy, a także drobne loczki nad szyją, pochyloną w tej chwili ku instrumentowi.

Marja wpatrywała się przez dłuższą chwilę w nuty, nim, otrząsnąwszy się z myśli, dotknęła klawiszy białemi paluszkami. Zaczęła grać tęskny jakiś kawałek muzyczny, — nie dokończyła, — przeszła do żwawszej sarabandy, lecz i tę urwała nagle i splótłszy ręce na kolanach, zapatrzyła się w okno, kędy płonęła — po za siecią nagich gałęzi — krwawo-złota zorza wieczorna.

Cisza zaległa komnatę, — głucha, martwa cisza zimowego zmierzchu, która i na ludzką pierś kładzie się brzemieniem tęsknicy. To też i wdzięczna, niemal dziecinna jeszcze twarz młodej panienki przybrała wyraz smutku. Pogrążona w zadumie, nie zwracała uwagi na zgęszczający się mrok, z którego, niby z ciemnego tła obrazu, wychylała się już tylko jasna jej głowa, otoczona kołnierzem z koronek — i białe, delikatne ręce.

Nagle uczuła lekkie dotknięcie, odwróciła się i ujrzała przed sobą bladawe, słodkie oblicze matki, która patrzyła na nią z wyrazem tkliwego niepokoju.

— Przestałaś już grać, Maryś?

— O tak! Sprzykrzyło mi się... Albożto przyjemnie wiecznie bębnić po klawiszach dla siebie samej tylko, jakby w jakiem więzieniu...

— Co mówisz, dziecko!...

— Ah, mamo, mateńko! ani powiedzieć ci nie potrafię, jak bardzo mi tęskno i nudno! Ta wieczna cisza grobowa! Od nikogo słowa nie usłyszysz przez cały dzień, wszyscy milczą, chodzą, jak struci... O gdyby ojciec jeno chciał... Lecz on teraz bywa wciąż taki zamyślony, ponury, często gniewny. Ty sama, mateńko, z obawą na niego spoglądasz... Ale dziś, dziś zwłaszcza — to niedzielne popołudnie wlecze się i wlecze — końca doczekać nie można! — skończyła nawpół z płaczem.

Stłumione westchnienie hrabiny przytwierdziło skargom córki, głos jednak brzmiał spokojnie, gdy jęła ją pocieszać.

— Zbyt jesteś rozpieszczona, drogie dziecko, zbyt wiele od życia wymagasz. Porę roku mamy teraz posępną, wesela nie znalazłabyś nigdzie...

— Jakto, w karnawale? Nawet i w Pradze?...

— Wierzaj, Maryś, chciałabym nietylko ze względu na ciebie, lecz i na siebie samą....

— Abyśmy pojechali do Pragi, nieprawdaż, mateńko? Widzisz, serdeczna i ty się tu nudzisz.

— Oh, nie o to chodzi... Przywykłam przecież do tego cichego zakątka. Ale te ciągłe troski, ustawiczna obawa...

— O co? O kogo?

— O twego ojca. Takem się radowała, że teraz, gdy odebrano im nieszczęsne owe papiery będzie spokój... Ale ten hardy lud tutejszy! Ze wszystkiego, co słychać — a do nas przecie wiele rzeczy nie dochodzi — można wnosić, że jest rozdrażniony do najwyższego stopnia, że w nim wre i często myśl mi przychodzi...

Urwała, nie kończąc zdania.

— Jaka? Obawiasz się może buntu?

Hrabina nie zdążyła odpowiedzieć, gdy do pokoju wszedł Piotr, stary kamerdyner, niosąc zapalone świece w dwuramiennym kandelabrze, srebrnym. Ze sposobu, w jaki się ukłonił i pozdrowił panie, stawiając światło na klawikordzie, widać było, że jest w tym domu czemś więcej, niż zwykłym sługą. I rzeczywiście umiał pozyskać życzliwość i zaufanie długoletnią wierną służbą najpierw u nieboszczyka ojca dzisiejszej swej pani, Władysława z Lobkowic, potem u niej samej.

— Co słychać nowego, Piotrze? — zagadnęła go młoda panienka.

Piotr, zmierzający ku drzwiom, przystanął, potrząsnął białą głową i odparł markotnie:

— O miłościwa panienko, gdybym też mógł rzec, jakem odpowiadał sławnej a świętej pamięci Waszemu dziadkowi. „Jakże tam, Piotrze?“ — raczył mię zwykle zapytywać. — „Dobrze Wasza Miłość“. — „A co nowego? — „Nic, za pozwoleniem Waszej Miłości — wszystko po staremu. Wszędy ład i spokój“.

— Czy posłaniec z Kęt jest dotąd w kancelarji? — wmieszała się do rozmowy hrabina, patrząc badawczo w chmurną twarz wiernego sługi.

— Tak, Wasza Miłość. Ale konia mu już siodłają. Odjedzie wnet.

— Z czem przybył?

— Z czemże by? Z wiadomościami o nowem nieposłuszeństwie. Gdy górale z Postrzekowa oświadczyli stanowczo, że nie pójdą naganiać zwierzyny, gdy z Chodowa przestano dawać fury...

— O tem już wiemy — przerwała hrabianka Marja gadatliwego staruszka. — Ale, co przywiózł posłaniec dzisiejszy?

— Dokumentnie rzec nie poradzę, bo ino samemu panu powiedział. Gruchnęła jednak wieść, że te buntowniki, ci krnąbrni górale czynią teraz w Poczynowicach i Lhocie tak samo, jako w Straży i Tłumaczowie...

— W Straży i Tłumaczowie? — powtórzyła ze zdziwieniem hrabina. — A cóż się tam dzieje?

— Wasza Miłość nie raczy wiedzieć? Wszak tamtejsi górale polują sobie w najlepsze po dworskich lasach, niby na swojem, strzelają zwierzynę, chwytają w sidła...

— A cóż na to gajowi?

— Otóż to właśnie... — W tem sęk... Powiadają, jako w Tłumaczowie gajowego o mało nie zamordowano za to, że zastrzelił psa jednemu z kłusowników.

— A teraz w Poczynowicach?...

— Posłaniec przyniósł właśnie stamtąd wiadomości jeszcze gorsze. Ni mniej ni więcej, jeno samego wójta, starego Szerłowskiego syn...

Wtem umilkł nagle, jak gdyby mu kto mowę nożem przeciął, bo drzwi się uchyliły i do pokoju wszedł szlachetnie urodzony pan z Albenreuthu.

— A więc znowu mielesz językiem, stary plotkarzu! — zgromił Lamminger Piotra, który wnet opuścił z niskim ukłonem komnatę. Zaczem hrabia, zwracając się do żony i córki, pytał ironicznie:

— I cóż wam nagadał ten niepoprawny strachajło?

— Sądzę, że jeno prawdę — odpowiedziała żona łagodnie.—Wspominał o niepokojach w Straży i Tłumaczowie. A posłaniec z Kęt zapewne także nie wesołe przyniósł wieści...

— Ale też nic smutnego: zatargi z gajowymi, kłusownictwo... Zwykłe to rzeczy, dla mnie jednak tego za mało — dodał z zagadkowym uśmiechem.

— Za mało? — powtórzyły jednocześnie z akcentem zdziwienia matka i córka.

— Dla okazania złości i nienawiści dość — za mało jednak, abym mógł zawezwać wojsko...

— Dla Boga, chciałbyś buntu?...

— Byłoby to znakomitym argumentem i testimonium. Ale po co macie zaprzątać sobie głowy temi myślami! Moja w tem rzecz.

— Ale gdyby naprawdę wybuchnął bunt?...

— Ha, wtenczas powiesimy głównych przewódców, a z pewnością święty zapanuje spokój w całym kraju — odrzekł hrabia lodowatym głosem, który odrazu przeciął rozmowę. Na szczęście ozwał się właśnie dzwonek, wzywający na wieczerzę.

— Pójdźmy — rzekł spokojnie pan z Albenreuthu, kierując się ku drzwiom.

Żona postępowała obok niego w milczeniu, myśląc o ostatnich okrutnych słowach. Za rodzicami szła córka, bliska płaczu, dziw, że nie tupała nóżkami! Ojciec nieugięty. O podróży do Pragi niema co nawet marzyć. Długie, nieskończenie długie wieczory zimowe upływać jej będą zawsze jednako, szare i nudne, w towarzystwie małomównego, surowego ojca...

Tego jednak dnia czekała ją miła niespodzianka. Lamminger, który przez czas wieczerzy nie otwierał prawie ust, oświadczył żonie, wstając od stołu, że ma nagłą robotę i że dziś nie będzie już mógł im służyć. Jakoż udał się natychmiast do kancelarji, gdzie zastał jednego z urzędników, pilnie piszącego przy stole.

Lamminger, pochylony, przebiegał oczyma papier przez ramię sekretarza.

— Dobrze — rzekł, prostując się. — Ale w dalszym ciągu nie zapomnij o niczem. Kłusownictwo, opór, nieposłuszeństwo, harde odpowiedzi, wszystko to należy przedstawić żywo, a silnie, bo i tak pisane słowo jest tylko bladem odbiciem rzeczywistości. Justa trzeba scharakteryzować jako pieniacza i zawadjakę, jako człowieka niebezpiecznego, co podkopuje porządek i zamąca spokój publiczny. To samo da się powiedzieć o Kozinie, którego śmiałe mowy zapalają innych, zachęcając ich do oporu. Skoro skończysz pisanie, przyjdź zaraz do mnie, aby przeczytać. Jutro rano muszę to wysłać do Pragi przez Sznejdra. Czyś zawiadomił rządcę?

— Wedle rozkazu, miłościwy panie.

— Dobrze.

Lamminger opuścił pisarza, układającego ostrą na Chodów skargę i udał się do swojej komnaty. Zamknąwszy starannie dzwi za sobą, podszedł do ściany w głębi i obrócił kluczyk w zaledwie widocznym zamku. Od ściany odskoczyły wnet, jakby za poruszeniem sprężyny, ukryte drzwiczki i ukazało się wgłębienie o kilku przegródkach. Hrabia wyjął z jednej dwa trzosy, napełnione złotem, poczem zamknął śpiesznie drzwiczki, usiadł przy stole i zaczął pisać. Przerwało mu niebawem pukanie do drzwi.

— Zaczekaj! Wnet! — zawołał Lamminger. A skończywszy pisać wpuścił do pokoju rządcę, tego samego, z którym Kozina walczył pod lipą.

— Pojedziesz do Wiednia — oznajmił mu krótko.

— Kiedy, Wasza Miłość?

— Sprawa pilna — jutro o świcie.

I nie zważając, że wiadomość zdziwiła rządcę, ciągnął dalej:

— Oto pieniądze na drogę. Konia nie oszczędzaj. W Wiedniu dopytasz się...

— Mieszkałem tam pięć lat — podchwycił rządca z zarozumiałym uśmiechem.

— To oto pisanie wręczysz nadwornemu prokuratorowi, inne zaś panom, wedle wypisanych adresów — i to wnet po przybyciu. Chodzi tu o sprawę Chodów, rozumiesz? W razie, gdyby cię zapytywano, opowiesz o ich postępowaniu. Z tym znowu papierem udasz się do Sztrausa, a-dwokata Chodów. Jest to jeno świadectwo, że działasz w mojem imieniu. — Pokażesz mu dokument, nie oddając...

— Rozumiem, Wasza Miłość...

— Resztę dopowiesz ustnie, a tym oto — Lamminger uśmiechnął się i wziął trzos dukatów ze stołu. - Tym oto argumentem przypieczętujesz rozmowę. Zażądasz pokwitowania...

— Gdyby jednak wziąść nie chciał? — przebąknął nieśmiało rządca.

— Sądziłem, że więcej masz doświadczenia, że lepiej znasz ludzi.

— Albo też—gdyby zażądał kwoty większej?

— Ha, to rzecz inna. W takim razie pożyczysz u znajomych. Wszystkom przewidział, o wszystkiem pamiętałem. Zrozumiałeś?

— Dowiem się, Wasza Miłość. Rozpytam...

— O tem, jak rzecz stoi u dworu i w sądzie, dadzą mi znać. Ale u Sztrausa musisz się dowiedzieć, kto te chamy wysłał, kto dostarcza pieniędzy, kto głównie kieruje. Miej się na baczności w rozmowie z tym człowiekiem. To jakiś szczwany lis. Wykołatał już komisję dla rozpatrzenia skargi. Muszę też mieć jak najrychlej imiona wszystkich, co zasiadają w onej komisji. Jeżeli się dobrze sprawisz, potrafię wynagrodzić wspaniałomyślnie a hojnie. — O podróży nikomu ani słowa. Wyjedziesz do dnia, aby nikt nie widział. Sam dopilnuję twego odjazdu. Sztrausa musisz, pozyskać koniecznie — za jakąbądź cenę. Oto pieniądze na drogę, a to na inne wydatki.

Po chwili rządca wracał do siebie. Ponieważ był nie żonaty i mieszkał sam, więc nikt nie był świadkiem jego przygotowań do podróży. A nazajutrz przed świtaniem, sam wyprowadził sobie konia ze stajni, dosiadł go i niepostrzeżony, opuścił podwórze zamkowe. Pan jego, bez długiej peruki, w czapce futrzanej i lekkiem futerku, wyszedł jednocześnie aż za bramę i patrzał przez chwilę w zawiany śniegiem świat, odprowadzając spojrzeniem jeźdźca, dopóki ów nie zniknął w bladem świetle gwiazd dogasających.

C. d. n.

CZUWAJ!

OPOWIADANIE MATYLDY SERAO

Z WŁOSKIEGO.

10 PRZEKŁAD EUGENJI ŻMIJEWSKIEJ.

Te przejścia od radości do bolu, od nadziei do rozpaczy doprowadzały ją niemal do szaleństwa.

Ojciec, pożerany śmiertelnym niepokojem, spędzał noce bezsenne, chodząc wzdłuż i wszerz po pustym pokoju sypialnym. Po kilka razy na godzinę zbliżał się na palcach, otwierał drzwi do saloniku, rzucał okiem na łóżeczko. Jeżeli matka i dziecię spali, powracał uspokojony. Ale najczęściej zastawał matkę, chodzącą po pokoju z synkiem, owiniętym w kołderkę. Słaniała się, była podobniejsza do cienia, niż do kobiety żywej.

— Czy znowu gorzej? — pytał cichutko.

— Gorzej — odpowiadała głosem bezdźwięcznym, nie zaprzestając swej smutnej wędrówki.

— Biedaczek, biedaczek! — szeptał ojciec stroskany.

Dwunasty dzień był jeszcze gorszym od poprzednich; nawet po wypaleniu gardła, chory nie czuł ulgi. Prosił: „Pić!“ — ale połykał z trudnością.

Cecylja dawała mu malutkie kawałki lodu, ochładzało go to na chwilkę; lecz niebawem dusił się znowu i znowu przewracał się niespokojnie, chwytał się za gardło, za główkę.

Późnym wieczorem matka siedziała, jak zwykle, przy łóżeczku, ojciec stał naprzeciw, Mario był spokojniejszy.

— Lepiej ci? — spytał kapitan.

— Lepiej — odrzekł chory głosem cichutkim.

Miał powieki spuszczone. Po chwili otworzył je, spojrzał na ojca, na matkę i zapytał:

— Czy bardzo mnie kochacie?

To dziwne pytanie przejęło rodziców dreszczem; spojrzeli na siebie w milczeniu.

— Czy mnie kochacie? Mamusiu, tatusiu, kochajcie mnie bardzo — prosił Mario, zamykając znowu oczęta.

— Moja dziecino! Moje ukochanie! — zawołała matka, nie mogąc się od łez wstrzymać.

— O tak, kochamy cię nad wszystko! — szepnął ojciec.

Z początku noc była dość spokojna. Mario oddychał swobodniej, nie miał już gorączki; spał nawet chwilami. Gdy się budził, leżał cichutko

i rozglądał się po pokoju. Przed północą kapitan rzekł do żony:

— Zdaje się, że mu lepiej.

— Idź spać — namawiała go.

— Przyjdę za godzinę.

Istotnie wrócił o pierwszej. Dziecko spało snem ciężkim, oddech był chrapliwy. Matka wciąż czuwała, siedząc z twarzą opartą na dłoni.

— Czy śpi? — zapytał Gigli cichutko.

— Śpi.

Kapitan uspokojony wrócił do sypialni.

Cecylja zaczynała drzemać. Nagle zerwała się na równe nogi: obudził ją głos cichy, jak westchnienie.

— Mamusiu, lampa!

Sądząc, że światło razi chorego, nachyliła się nad nim i szepnęła:

— Chcesz, żeby ją przyćmić?

— Nie, ja nie widzę.

Postawiła lampę w ten sposób, aby jej światło padało wprost na twarzyczkę synka.

— Czy tak dobrze? — spytała.

Uśmiechnął się, skinął główką i znowu oczy zamknął. Przypuszczała, że usnął, zaniepokojona jednak rzęrzeniem, wydobywającem się z gardziołka, starała się nie usypiać. Ale zmęczenie przemogło.

Około czwartej zrana Mario otworzył znowu oczki, spojrzał dokoła, wydało mu się, że jest sam i przestraszył się; z wielkim wysiłkiem podniósł główkę i zobaczył, że matka przy nim siedzi i że śpi. Popatrzył na nią smutnemi oczyma, roziskrzonemi od gorączki i zmęczony tym wysiłkiem, osunął się znowu na poduszki.

Lampa oświecała w pełni jego twarzyczkę wychudzoną i blade usta, z których oddech wychodził ze świstem.

Mario nie odezwał się, nie przywołał matki, tylko wyciągnął chudą rączkę i pogłaskał ją po twarzy. Zapewne uczuła przez sen tę pieszczotę, bo nie budząc się, szepnęła:

— Moja dziecino!...

On skinął główką, powieki opadły. Rączka pozostała na twarzy matki w ostatniej pieszczocie.

Dusza uleciała do Boga. (D. n.).

Z pism i książek.

Jakkolwiek wszystkie prace naukowe zająć są zdolne umysł czytającej publiczności kraju naszego, to jednak miejsce pierwsze pomiędzy niemi zajmują te z nich, które traktują o historji ojczystej. I tak np. gdy wydawnictwa przyrodnicze znajdują zaledwie 300 czytelników, filozoficzne 600, historyczne liczą aż kilka tysięcy odbiorców. Historja jest mistrzynią życia, z dziejów przeszłości mamy czerpać naukę postępowania, poprawy błędów narodowych, to też z tej racji na polu historji ojczystej posiadamy cały szereg uczonych wybitnych, pracowników niezmordowanych, imiona ich są wszystkim znane. Do zastępu tych mężów zasłużonych w nauce, pozyskaliśmy od lat niewielu nowego pracownika, pisarza pierwszorzędnej siły i talentu, młodego historyka, dr. Szymona Askenazego. Obrał on sobie za przedmiot poszukiwań naukowych najciekawszą dla nas epokę, najmniej przez nas znaną, przytem najbardziej drażliwą, jakkolwiek wielce interesującą, mianowicie bada on dzieje nowsze naszej niedawnej przeszłości. Z pod jego pióra wyszły już następujące opracowania: „Elekcja Stanisława Augusta“, „Studja historyczno-krytyczne“, cieszace się obecnie już wydaniem drugiem, „Przymierze polsko-pruskie“ i inne drobne, jak np. „Życiorys prof. Łagury“, które tu pomijam.

Wszystkie prace wymienione zostały jednogłośnie przez krytyków naukowych warszawskich ocenione przychylnie, nie szczędzono im pochwał, gdyż poznano z nich talent autora wielki i wiedzę obszerną — *ex ungue-leonem*. Dzisiaj mamy do zaznaczenia nową pracę dr. Askenazego, noszącą tytuł „Dwa stulecia XVIII i XIX“, wydaną nakładem Gebethnera, z datą 1901.

Cenną jest ta praca, o której tu mowa, nietylko z tytułu opracowania źródłowego, epoki w niej traktowanej, lecz jeszcze z racji niezrównanej potoczystości wyłożenia, jędrności stylu, umiejętności przeźroczystego ugrupowania faktów. Wszystko to, razem wzięte, przykuwa nieprzepartą siłą uwagę czytelnika do nowacji autora. Rzadka zdolność uplastycznienia postaci i charakterów ludzi, działających na arenie ówczesnej polityki, jak np. obu naszych Sasów, Frydryka króla, Józefa cesarza, wraz z ich ministrami, doradcami, błaznami, wraz z tłumem naszych ojczystych działaczy płci męzkiej i żeńskiej.

Następnie bezstronność w ocenianiu faktów, śmiałość wypowiadania prawdy itd. znamionują to ostatnie, jak i inne dzieła młodego autora. Taką powinna być historja, jaką ją widzimy tutaj: śmiałą, szczerą, życzliwą, miłości pełną, lecz nie pobłażliwą, nie doktrynerską, nadto pouczającą, a w wyłożeniu zajmującą i piękną w stylu. Kto weźmie do rąk pracę, o której tu mowa, uczuje niezawodnie, że nastaje nowy perjod dla naszej historji ojczystej i że w autorze witamy talent i erudycję, które otoczyć winniśmy sympatją należną i uznaniem szczerem, ażeby potomkowie nasi nie mieli racji nam wyrzucać, jak my dzisiaj mamy prawo czynić to w wielu wypadkach naszym poprzednikom, że talentom i genjuszom „po śmierci wszyscy kadzą“, a co gorsza, by nie rzekli, że goryczą piołunową zatruwa się nawet kęs własny ich chleba. Z drugiej znowu strony, niech nam wolno będzie życzyć, azeby autor ostał się wśród niepowodzeń życia nawet, silny charakterem, czysty prawością myśli i czynu i świecił nam nietylko wielkością talentu, lecz i wielkością ducha.

Historyk dziejów ojczystych już z powołania swego musi być krytykiem czynności przodków naszych, nauczycielem i kierownikiem obecnego i przyszłego pokolenia, stać więc on powinien na piedestale cnoty tak wysoko, by go żadna z ludzkich, codziennych namiętności nie dosięgła.

Dr. B. D.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego, Lwów, ul. Kopernika 5.